Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

ROK VII. LISTOPAD 1933 NUMER XI.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE

Redaguje Komitet ✧ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn

Redakcja i Administracja Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

TREŚĆ NUMERU:

R. SZERESZOWSKI: Znów się przypominamy.

O RATUNEK DLA DZIECKA ŻYD. W NIEMCZECH.

HERMAN STERNBACH: Duch a maszyna (II).

Dr. DEBORA VOGEL-BARENBLÜTH: Motyw codzienności w literaturze dziecięcej.

HELENA BOGUSZEWSKA: Dwukrotne odwiedziny w „Centosie".

OCENY.

Dr. LEON GUTMAN: Z najnowszej literatury pedagogicznej.

WIADOMOŚCI Z CENTRAL SIEROCYCH:

Ze Związku.

Z Centrali Białystockiej.

„ „ Lwowskiej.

PRZEGLĄD CZASOPISM.

LWÓW ✧ LISTOPAD ✧ 1933

ROK VII. LISTOPAD 1933 NUMER XI.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE
Redaguje Komitet ◈ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn
Redakcja i Administracja Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

R. SZERESZOWSKI.

Znów się przypominamy.

I znów zjawiamy się w „Tygodniu sieroty“ przed społeczeństwem żydowskiem, dokumentując, że jesteśmy, że trwamy na posterunku!

Codzienne zabiegania o datki, nieustające prawie zbiórki i imprezy, przesłaniają częstokroć samą sprawę, sprawiają, że zapomina się o całokształcie, o tej wielkiej organizacji opieki nad opuszczonem dzieckiem, którą Żydowstwo polskie rozbudowało w ostatnich kilkunastu latach, a która jest wspaniałem świadectwem zrozumienia i ofiarności Żydowstwa polskiego dla sprawy wychowania jego dziecka do produktywnego życia.

Przygniecione kryzysem i zubożałe społeczeństwo nasze złożyło w tym roku na akcję opieki nad sierotami i opuszczonemi dziećmi, prowadzoną przez Związek Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami około półtora miljona złotych. Taka ofiarność w obecnych stosunkach nie może już być dowodem tylko litości nad sierotą, czy sentymentu dla dziecka wogóle, lecz jest aktem świadomego spełnienia obowiązku wobec całego społeczeństwa. Nie chcemy bowiem i nie możemy pozwolić, by 10.000 sierót i dzieci opuszczonych, znajdujących się w opiece Związku, by część naszego młodego pokolenia zginęła, lub też wyrosła na element bezużyteczny dla społeczeństwa, czy też — co jest prawdopodobne — szkodliwy dla niego.

Dziecko opuszczone i biedne w narodzie naszym zawsze było przedmiotem poważnej troski podyktowanej nietylko litością, czy też chęcią naprawienia krzywdy, lecz przedewszystkiem ze stanowiska interesu społecznego, przyszłości narodu.

Akcja opiekuńcza nad żydowską sierotą i opuszczonem dzieckiem przeżywa bardzo ciężkie chwile. Głód i nędza wdzierają się do naszych zakładów opiekuńczych.

Działacze społeczni, dowodzący akcją czynią co tylko w ludzkiej mocy, by powstrzymać pochód grozy i nieszczęścia. Musimy jednak żądać od całego społeczeństwa, by zwiększyło jeszcze swą ofiarność na święty nasz cel.

Niechaj w „Tygodniu sierocym" każdy Żyd w ogólności, a każdy żydowski działacz społeczny w szczególności zastanowi się nad możliwością pozyskania dla akcji nowych ludzi, przyciągnięcia nowych sil, by ze zwiększoną energją podeprzeć chwiejący się, piękny gmach opieki nad dzieckiem i uchronić go od upadku, aż nadejdą lepsze czasy, aż przejdzie gniew Boży...

O ratunek dla dziecka żydowskiego w Niemczech.

Tragedja Żydów niemieckich wstrząsnęła do głębi całem Żydowstwem świata.

Przeszło półmiljonowe skupienie żydowskie otoczone zostało żelaznym pierścieniem zoologicznej nienawiści, szaleństwa pogromowego i skazane na powolną śmierć głodową.

Gdzie jest potężny głos sumienia narodu niemieckiego? Gdzie ludzki protest wielkiej kultury niemieckiej? Nie, niema sumienia; jest tylko masowa psychoza psiej uległości i poniżenia całego narodu przed obłąkańczym, zdegenerowanym dyktatorem.

Niema kultury, tylko rozkładcza zgnilizna, która całe Niemcy zaraża swą trującą wonią.

O wiele niebezpieczniejszym niż gazy trujące, które niemieckie fabryki masowo produkują, jest odór gazów duchowych, które w gęstą mgłę spowiły cale Niemcy. Gęsty, czarny, trujący fosgen, który niszczy wszelkie zarodki wiekowej kultury, który rozżarzoną swastyką wypala ostatnie ślady ludzkości i sprawiedliwości.

Apelujemy do całej ludzkości i szukamy u niej sprawiedliwości. Ale ludzkość — w obawie przed okrutnymi gazami — przywdziała... maskę gazową. I sądzi, że jest bezpieczną pod tą

maską i niechce wiedzieć o tem, że gazy nie zatrzymują się u granic politycznych i że zaraza hitlerowska wciąż się rozszerza.

Zdrowy instynkt podszepnął nam, że sami podjąć musimy walkę z bestją hitlerowską. Nie słowem, nie frazesem lub protestami, lecz skuteczną, praktyczną bronią. I rozpoczęliśmy wojnę przy pomocy bojkotu.

Bojkotujemy niemieckie surowce i wytwory, niemieckie maszyny i preparaty, wszystko, co tworzy niemiecka technika i kultura — w walce o honor Żydowstwa, o byt naszych braci i sióstr, skazanych na mękę w tym olbrzymim obozie koncentracyjnym, któremu na imię: Niemcy.

Czy bojkot jest naprawdę skutecznym środkiem?

Zdajemy sobie sprawę z tego, że w okresie, gdy zasada gospodarczej samowystarczalności staje się dominującą we wszystkich krajach, mały naród niewiele potrafi zdziałać przy pomocy bojkotu. Wiemy także, że bojkot, choćby nawet bardzo silnie dał się we znaki niemieckiemu przemysłowi i handlowi, nie spowoduje tak rychło wstrzymania fali prześladowań przeciw naszym braciom. Że przeciwnie: może rozdrażnić bestję i spowoduje dalsze, okrutniejsze jeszcze wyczyny.

A jednak pierwszą odpowiedzią naszą jest — bojkot! Odruch naszego instynktu, krwi naszej. Odpowiedź naszego sumienia i dumy narodowej.

Nie chcemy pomagać mordercom naszych braci, nie chcemy przykrywać krwi męczenników, nie chcemy wchodzić w żadne stosunki z katami i mordercami wolnej, demokratycznej ludzkości.

Stanowczy, konsekwentny i trwały bojkot wszystkiego, co nosi znamię hitlerowskich Niemiec, piętno największej hańby dwudziestego stulecia!

*

Tragedja Żydowstwa niemieckiego — zda się — prześcignęła już wszystko. Cóż bowiem może być bardziej tragicznem i okrutnem, niż to, co przeżywają Żydzi niemieccy?

A jednak jest coś, co jest jeszcze okrutniejszym wykwitem bezmyślności i szaleństwa.

To tragedja dziecka żydowskiego w Niemczech.

Dzieci żydowskie stanowią objekt wszystkich podłości i okrucieństw nazistycznej pedagogiki; milcząco i cierpliwie znosić muszą najokropniejsze zniewagi i oszczerstwa ze strony nauczycieli i rówieśników. Nie mają żadnej możności uczenia się we własnej, żydowskiej szkole. Setki dzieci tułają się w obozach

koncentracyjnych. Wollzig, wzorowy zakład wychowawczy, który był dumą Żydowstwa niemieckiego, który tyle kosztował wysiłków duchowych i materjalnych, został doszczętnie obrabowany i zniszczony przez oddziały szturmowe.

Czy znajdzie się w historji ludzkości ciemniejsza karta, niż jest nią tragedja dzieci żydowskich w Niemczech?

Istnieje pakt międzynarodowy, podpisany przez wszystkie kulturalne narody świata, umowa, która proklamuje prawa dziecka i stwarza obowiązek udzielenia mu pomocy i obrony przed nędzą i nieszczęściem: deklaracja genewska.

Pewnie, że wartość tej deklaracji nie jest większą, niż wartość wszystkich paktów międzynarodowych. Ale przecież stanowi ona dostateczną prawną podstawę do interpelacji pod adresem miarodajnych czynników międzynarodowych i żądania od nich interwencji i pomocy.

Czemu to się dotychczas nie stało?

Czemu nie słyszeliśmy dotąd głosu protestu przeciw barbarzyńcom, którzy pogwałcili wszystkie postanowienia deklaracji genewskiej?

Czemu nie proklamowano dotąd zorganizowanej akcji światowej na rzecz dziecka żydowskiego w Niemczech? Czemu tragedji tego dziecka nie wyniesiono przed forum międzynarodowej organizacji opieki nad dzieckiem?

Kto weźmie w swe ręce inicjatywę? Kto zwróci uwagę całego świata na tę największą ludzką tragedję?

Czekamy na odpowiedź!

HERMAN STERNBACH.

Duch a maszyna.

(Ciąg dalszy) [1])

O losach ludzkości zadecydowały w jej dziejach potąd zawsze dwa rodzaje moralności, wypływające z dwojakiego na świat patrzenia: altruistycznego i egoistycznego (w znaczeniu szerszem). Dominującym w czasach obecnych jest rodzaj drugi, który Zbinden określa jako „Moral der Gruppenliebe". Ten rodzaj moralności uznaje i nakazuje współczucie i ofiarność, ale tylko dla własnej grupy, czy nią jest własna rodzina, własny stan, własne stronnictwo czy wyznanie, własny naród lub własna rasa. Uznając i na-

[1]) Patrz: Przegląd Społeczny. Nr. IX—X, 1933.

kazując owe cnoty wobec grupy własnej, uznaje jednakowoż i nakazuje ta moralność ich przeciwieństwa wobec grupy obcej; a więc obojętność, samolubstwo, a wśród okoliczności także nienawiść i zemstę, tak jaskrawo dziś występujące jużto w wybujałościach nacjonalistycznych, jużto w orgjach szowinizmu rasowego, jużto w zaciekłości walk klasowych. Owa miłość grupowa, podtrzymywana nieraz więcej nienawiścią do grupy „obcej" niż miłością do grupy własnej, ów egoizm grupowy, przez niektórych nawet uznany za świętość („il sacro egoismo"), nowe objawienie i zbawienie zarazem — jest jedną i to wcale nie ostatnią, z głównych przyczyn dzisiejszego chaosu. Demoniczność, z jaką ten egoizm działa, oślepia jego wyznawców. Czyniąc coraz to szersze i głębsze podkopy pod fundamenty świata, nie spostrzegają, że chwiejący się świat, gdy wreszcie runie, nie tylko innych lecz także i ich samych pod swojemi zmiażdży gruzami. Zbinden ostrzega i nawołuje do opamiętania. Bowiem — twierdzi on — nieprawdą jest, jakoby maszyna jedynie była powodem dzisiejszego, tak okropnego bezrobocia. Zdaniem jego maszyna nie tylko nie pomniejsza możliwości pracy, lecz przeciwnie, w znacznym stopniu je pomnaża i potęguje. „Co powoduje bezrobocie, to jest grupowo-egoistyczne wykorzystywanie maszyny, system produkcji i podziału dóbr jakoteż całego procesu gospodarczego według ciasnych nacjonalistycznych lub kontynentalnych punktów widzenia. Tylko przez to maszyna mogła się stać nieszczęściem; tylko w ten sposób mogła powstać nadprodukcja na jednych obszarach gospodarczych przy zupełnym braku dóbr na innych; tylko tak mogło dojść do tego, ludzkości 20. wieku naprawdę niegodnego stanu, którego zastraszającemi znamionami są głód i nędza miljonów ludzi w Chinach i Rosji z jednej a równocześnie palenie zboża w Ameryce Południowej i Kanadzie z drugiej strony". Prawdziwa przyczyna tych stosunków tkwi w tem, że jeszcze dziś kraje i rządy kierują się zasadami, przestrzeganemi w epoce dyliżansów i kiedy jeszcze miasta odgradzały się wzajemnie od siebie grubemi murami.

Moralność egoizmu grupowego, pod względem duchowym i społecznym stosunkowo niski, prymitywny szczebel kultury, jest zawsze, szczególnie zaś gdy kultura już nieco szerszy obejmuje widnokrąg, w skutkach swych zgubny. Toteż jednostki dalej i głębiej patrzące już przed wiekami odwracały się od tej moralności o dwóch sumieniach i głosiły w jej miejsce moralność — że tak powiem — jednosumienną, tzn. moralność, obejmującą jednem i temsamem sumieniem w s z y s t k i c h ludzi, „bez względu na przynależność człowieka do tego czy owego stanu, narodu itd. Miłość powinna objąć w równej mierze wszystkich; każdy powinien być bliskim i bratem drugiego".

Na takich wyżynach serca i ducha chciałby Zbinden widzieć wszystkich ludzi; a wierzy w ich osiągalność, bo on, Szwajcar, widzi bliskość i braterstwo trzech narodów, jako codzienną rzeczywistość w swojej własnej ojczyźnie.

„W jakiejkolwiek postaci kryje się cierpienie w jakimkolwiek języku ból ludzki przemawia — wszyscy są ludźmi, we wszystkich cierpi, boleje i zmaga się tasama istota („die gleiche Kreatur"), krew z naszej krwi, duch z naszego ducha". Ta świadomość, to poczucie solidarności i wspólnoty ludzkiej, choć dławione i tłumione, tkwi w każdym człowieku i najpiękniejsze w nim budzi tęsknoty i nadzieje w chwilach, kiedy najpiękniejsze w nim się odzywa człowieczeństwo. Chwile te są jednak rzadkie. Inaczej bowiem ataki moralności o jednem sumieniu, podejmowane w pewnych epokach przeciw moralności o dwóch sumieniach, z dwojaką miarą i dwojaką ceną, ataki wciąż ponawiane, większymby się cieszyły triumfem, widoczniejsze by miały skutki.

Wojna wszystkich przeciw wszystkim trwa. Egoistyczna moralność grupowa gra jeszcze wciąż w życiu dzisiejszem rolę świętego imperatywu, rolę dogmatu.

Jedyne, co może ludzkość zbawić i uchronić ją od dalszych kataklizmów jest n o w e s u m i e n i e, które mając pełne zrozumienie dla odmian i różniczkowań jednostkowych potępia stopniowanie wzgl. wartościowanie podług stanu, narodu lub rasy.



W przeciwieństwie do innych twierdzi Zbinden, że maszyna nie uczyniła pracy ludzkiej zbędną. Każde udoskonalenie techniki wymaga nowych sił ludzkich. Nowe jej zdobycze otwierają człowiekowi nowe możliwości pracy, nowe pola działania. Jak z jednej strony technika automatyzuje, tak z drugiej strony rozszerza zasięg pracy i wciąga w jej orbitę nowe siły ludzkie, które niejednokrotnie dotychczas leżały odłogiem. Wynalazki na polu biologji, mechaniki, fizyki i chemji stworzyły nowy szereg zajęć i zawodów, dotychczas nieznanych i niewykonywanych.

A jednak należałoby się zapytać, dlaczego tyle miljonów ludzi szukając pracy jej nie znajduje?

Na to kardynalne pytanie Zbinden tak odpowiada: „Czyż mają ludzie po wsze czasy oddać cały swój dzień i całe życie dla zdobycia kęsa chleba, tak że im na rozwój ich duchowych potrzeb pozostaje ledwo już marna cząstka czasu i siły? Gdzież to jest pisane, że ludzie w przeważającej liczbie mają poświęcić bitych ośm lub więcej godzin wyłącznie tylko takiej czynności, która im daje po największej części ledwo marny byt a tylko w wyjątkowych wypadkach może zaspokoić ich najgłębsze tęsknoty?" Skrócenie

czasu pracy przy równoczesnem jej indywidualizowaniu jest nietylko możliwe, lecz byłoby i pożądane bez szkody dla kogokolwiek i bez obawy, że ludzkości mogłoby czegoś zabraknąć. Że to nie fantasmagorja idealisty, o tem świadczy fakt ten, że Międzynarodowy Urząd Pracy w Genewie problemowi zmniejszenia czasu pracy coraz baczniejszą poświęca uwagę. Jednak rozwiązaniu jego, któreby produkcję i konsumpcję na nowe pchnęło tory, stoi na przeszkodzie stara moralność grupowa wielkich producentów, którzy nie mają zrozumienia dla biegu wydarzeń ani sumienia — dla drugich.

Z punktu widzenia nowego sumienia problem etyki i radości pracy nową przybiera postać.

Monotonna i bezduszna, bo wiecznie tasama czynność przy maszynie i taśmie wirującej przytępia robotnika coraz bardziej. Próby przeciwdziałania temu przez chęć budzenia w nim zrozumienia dla całości przy jego monotonnej pracy cząstkowej okazały się płonnemi. Tyle wiedział o jej całości, o jej istocie twórczej, ile wie monotonnie tykające wahadło o istocie zegara. I tyle też miał radości w swej pracy, tyle radości z niej, ile jej ma wahadło przy swojem tykaniu tam i nazad, tam i nazad — wciąż precyzyjnie tensam zakreślając łuk. Człowiek tylko wtedy może odczuć radość przy swojej pracy maszynowej, gdy obejmuje całość maszyny, czuje się odpowiedzialnym za jej sprawne funkcjonowanie i może z nią współdziałać rozwijając przy tem do pewnego stopnia swoje własne zdolności twórcze. Nowe, albo — jak je Zbinden określa — panidealistyczne sumienie będzie miało ten wzgląd na oku. Będzie się starało przy postępującym rozwoju techniki stworzyć stopniowo takie możliwości, by tego rodzaju bezduszne prace zautomatyzować i zająć przy niej robotnika, stosownie do jego wrażliwości, tylko przez parę godzin dziennie lub kilka tygodni w roku. „Dopiero wtedy, — gdy w odkrywaniu nowych możliwości pracy duchowej i społecznej będziemy dotrzymywać kroku odciążeniu przez pracę maszyny, będzie można zużytkować plony techniki dla twórczych sił ludzkich". Świadome szukanie nowych zawodów i torowanie im dróg będzie jednem z głównych zadań mężów stanu i wychowawców, ekonomistów i twórców nowej kultury duchowej i społecznej. Nowe sumienie uprzystępni, dzięki doskonałej technice, wszystkim wykształcenie i wiedzę, uwzględniając każdego osobliwe właściwości i uzdolnienie. Będzie kształtować życie nie mocą anarchicznej samowoli ani bezdusznością lecz podług norm duchowych, które życie uduchowią i pogłębią a ludzi nauczą odróżniać genjuszów sezonowych i szarlatanów od prawdziwych przewodników, Kleonów od Sokratesów. Im więcej się będzie rekrutowało wynalazców i przewodników w gospodarstwie,

rządach i prasy z ludzi, postępujących i działających według postulatów nowego sumienia, tem mniej będą działać dla niskich pobudek zysku i tem mniej będą się godzić na użytkowanie wzgl. nadużywanie środków technicznych dla ubożenia lub zabijania ducha.



Moglibyśmy Zbindena uważać za utopistę, gdybyśmy nie widzieli, że życie samo, mimo pewnych załamań, w tę właśnie prze stronę, którą wskazuje nowe sumienie.

Z udoskonaleniem techniki i rozwojem przemysłu wyłoniło się niewątpliwie wiele nowych problemów, z których jednakże problem populacji, regulowania urodzeń jest jednym z najbardziej piekących. Można rozwiązać ten problem tylko z punktu nowej orjentacji etycznej, różnej od dotychczasowej, która mnożącą się niepomiernie ludność przy ciągłym a szybkim postępie industrjalizmu uważa za rzecz miłą Bogu, czem zgoła nie przysparza chleba ustom go łaknącym. Jakby świat na temsamem stanął miejscu, na którym stał przed wiekami. Sumienie egoizmu grupowego jest nieczułe i ciężko się porusza. Liczebny wzrost grupy sam w sobie ma już dla niego wartość; widzi w nim wzrost swej siły. Pogląd ten pochodzi z owych czasów jeszcze, kiedy to ilość członków grupy stanowiła o jej sile obronnej, a w skutkach o jej egzystencji Nie o jakość (poza fizyczną) chodziło, lecz o ilość, by starczyło i do obrony i do ofiarowania przeciwnikowi. Im hojniej grupa jakaś mogła ofiarować, tem silniejszą się czuła.

Poglądowi temu hołdują i dziś jeszcze niektórzy „mężowie stanu", propagujący w ambitności swej zaborczość jako szczytną misję ich narodu czy państwa. Ba nawet prawie że z urzędu nakazują płodzenie i odnoszą się z wielką lubością do — niemowląt. (Darują im kołyskę i wyprawkę!) Dorosłym zostawiają nędzę albo pole chwały.

Natomiast w nowoczesnej polityce populacyjnej powinien dominować wzgląd na jakość a nie na ilość. „Bezmyślne mnożenie się ludności dla celów politycznej hegemonji i prowadzenia wojny jako pokarmu dla dział, jakoteż dla celów na ślepo rosnącej autarkicznej produkcji dóbr i powiększenia bezcelowego posiadania staje się coraz cięższym hamulcem rozwoju kulturalnego". Osądzanie kwestji zaludnienia jedynie z punktu widzenia kwantytawynego i ze stanowiska utylitarnego grupy staje się niebezpieczeństwem coraz groźniejszem. Rosnąca ilość członków grupy nie jest tyle rękojmią pewnej jej obrony ile rękojmią pewnej i nadproporcjonalnie rosnącej nędzy i rozpaczy. Jej zapobiec, ją łagodzić, jest dziś naczelnem zadaniem tych, w których ręku spoczywają losy

miljonów istnień. Zaczątki tych usiłowań tu i ówdzie już są widoczne.

*

Co wrażliwsze natury do techniki zraża, to nie maszyna jako taka, lecz duch, do którego się ją nagina i bezduszne cele, którym służyć ją się przymusza. Bo technika nie jest wcale ani taka „trzeźwa“ ani też prozaiczna, jak wielu zazwyczaj sądzi. Trzeba tylko na chwilę pomyśleć choćby o najprostszych sprzętach i narzędziach, o instrumentach muzycznych, o przyrządach, jakiemi są np. mikroskop lub luneta, by się przekonać, ile fantazji było w ich twórcach, ile uduchowienia i uszlachetnienia dostało im się w udziale z strony tych, którzy się posługiwali niemi w życiu codziennem, w nauce lub sztuce. Wynalazki i odkrycia oznaczają tylko wtedy niebezpieczeństwo, gdy się je robi w egoistycznym zamiarze rezerwowania ich tylko dla pewnej grupy wyłącznie, względnie dla szkody lub zguby grupy innej. (Np. hodowla zabójczych bakteryj i wynajdywanie okropnych trucizn (sc. dla „wroga“) zalecane ostatnio przez prof. Bahnsego we „Wehrwissenschaft“). Natomiast wielcy wynalazcy i odkrywcy nie podejmowali nigdy swej pracy dla celów egoistycznych własnych czy tylko ich grupy. Wspomnijmy tylko Herza, Ehrlicha, Pasteura, Mayera, Faradaya, Wassermanna, Roentgena, oboje Curie, Minkowskiego, Strickera i w. i. Nie myśleli nigdy o tem, by wyniki ich dociekań tylko jednej służyły grupie a już wcale nie o tem, by je obracano kiedykolwiek na zgubę innych. Ich trudy okraszone były miłością a nie zakażone nienawiścią. Dzięki tylko egoizmowi grupowemu przemienia się często w okropność to, co miało się stać błogosławieństwem ludzkiem. Tych wszystkich wielkich wynalazców owiewała głęboka intuicja twórcza i nie mniej głęboka religijność dla spraw ludzkich, którym służyli. Chcieli być dobroczyńcami ludzkości a nie jej niszczycielami. Bowiem urągający mimo swego uświęcenia wszelkiej etyce boskiej i ludzkiej egoizm grupowy był im obcy.

Ten moment powinno się wpajać młodemu pokoleniu od pierwszej chwili. Należy mu również zwrócić uwagę na bezmyślność dzielenia pracy na duchową i fizyczną, na niedorzeczność oceniania jednej jako więcej a drugiej jako mniej wartościowej. Ocena taka tworzy nietylko bezmyślne granice lecz nieraz głębokie przepaści między warstwami pracujących w różnych dziedzinach. Pogłębia przesąd, jakoby już zawsze musiał znosić nędzę, kto się imał tej a opływać w dostatki, kto się innej imał pracy. Nie pracujący sam jest podstawą do oceny jego wartości, lecz jakość i cel jego pracy. I w tym sensie każda godziwa praca jest pełnowartościowa. Niema pracy wyłącznie tylko duchowej ani też wyłącz-

nie tylko fizycznej. „Zawsze nawet przy najniepokaźniejszej pracy ręcznej decydują wkońcu o jej jakości i wartości praca głowy, nerwów, charakter, wytrwałość, znajomość rzeczy, inteligencja. Przez to czynność najprostszego robotnika pokrewną jest czynności twórcy duchowego; a im bardziej ona służy społeczności o dalekich celach duchowych, tem bardziej szlachetnieje". I tak nawet drobne sprzęty powszednie, które nam daje technika, wyższy zyskują poziom i wskazują nam „nierozłączną jedność ducha i materji, kształtującej duszy i usłużnej formy". Tak na rzecz patrząc, dostrzeżemy w maszynie nowe, uduchowione oblicze. Dzieła techniki są oddane w nasze ręce. Możemy ich użyć dla dobra lub na zagładę ludzkości. O wyborze jednego czy drugiego rozstrzyga jedynie tylko nasze sumienie.

*

Jak dalece duch i maszyna siebie wzajemnie przenikają, ile jedno drugiemu daje i od niego bierze, o tem poucza każda twórczość, każdy warsztat ludzkiej pracy. Bo czem jest praca? „Pracować znaczy zmieniać". Każdy proces pracy opiera się na pewnym już istniejącym kompleksie sił, z którego pewne części (do danej pracy) się włącza, inne wyłącza i nowemi uzupełnia. Miernikiem wartości pracy będzie tedy stosunek, w jakim pozostają do siebie owe trzy funkcje twórcze (włączanie, wyłączanie i uzupełnianie), t. zn. która z nich najwięcej była czynna przy powstawaniu pracy. Może bowiem zachodzi taki wypadek, że pracujący (rzemieślnik zarówno jak np. malarz) tyle pierwiastków przejmuje z pewnego zakresu, że dla twórczej przemiany lub uzupełnienia już wiele miejsca mu nie zostaje. Pracujący naśladuje lub powtarza. Inny znowu tyle z istniejących w danym zakresie elementów i cech odrzuca, że traci grunt pod nogami i uzupełniając gubi się w fantastyce bez treści. O istotnej wartości więc pracy stanowi tedy funkcja kompletowania, odróżniająca to, co typowe od tego, co przypadkowe i tworząca z kompleksu istniejących znamion coś nowego. Ona daje każdemu pracującemu możność i swobodę indywidualizującej pracy twórczej przy mechanizacji. To wzajemne oddziaływanie jednej na drugą, ten popęd do nowego tworzenia przy równoczesnem dążeniu do doskonalenia się technicznego występuje na jaw nietylko u jednostek lecz także nieraz w twórczości całych epok kultury. Tak n. p. gotyk jest harmonijną syntezą ducha i doskonałej techniki, rozumowego wyrachowania i głębokiego uczucia. Technika tylko wtedy staje się zgubną, kiedy równo z jej rozwojem nie postępuje dojrzewanie serca i sumienia ludzkiego, kiedy zaskakuje duszę znienacka i zastaje ją nieprzygotowaną do należytego korzystania z jej mocy i zasobów. To też

jest nieszczęściem naszej epoki: że technika w swym triumfalnym pochodzie zostawiła daleko za sobą wtyle dusze i sumienia. A tę ich cząstkę, która może jeszcze gdzieś głęboko wewnątrz się tliła, przytłoczył i przytłumił albo całkowicie zgasił brudny utylitaryzm, niski egoizm grupowy. (D. n.)

Dr. DEBORA VOGEL-BARENBLÜTH.

Motyw codzienności w literaturze dziecięcej.

Przesunięcia w światopoglądzie dochodzą zwykle do wyrazu prawie niezależnie i równolegle na różnych wycinkach życia. I tak nie mogą przejść bez wpływu przesunięcia naszej epoki w odczuwaniu rzeczywistości na książkę dla dziecka. Ona także musi ulec uwspółcześnieniu.

Z jednej więc strony postulat uwspółcześnienia kisążki dla dziecka; — z drugiej — teorja o „specyficznym świecie dziecka". Co się stanie z tym rzekomo specyficznym sposobem odczuwania świata — jeżeli każemy dziecku inaczej, współcześnie patrzeć na świat? Stanie się tylko coś zupełnie analogicznego jak w wypadku kultury dorosłych, każącej jednemu i temu samemu człowiekowi być naprzemian człowiekiem romantycznym, pozytywistycznym i człowiekiem z epoki kubizmu. Tylko elementy psychiczne są stałe, kombinacje mogą się zmieniać, a z punktu widzenia kultury chodzi tylko o inne symbole i nazwy dla wiecznie jednej sprawy życia.

Odkryliśmy nagle świat codziennych, szarych spraw, patos i kolorowość codzienności. Stało się to po długich wędrówkach w imaginacyjnych światach i światach różnych konstrukcyj, przyczepianych do życia. Jak to się stało — to nie należy do przedmiotu. Faktem jest, że pewnego dnia odkryliśmy na nowo codzienność.

Ten świat codzienności jednak zrósł się był w naszem odczuwaniu z wyobrażeniem beznadziejnego powtarzania i nudy. Do tego dołączyła się jeszcze mechanizacja życia; tempo, sprawiające, że po pewnym czasie życie usuwa się z pod naszej kontroli i regulacji i zamiast być dla człowieka — żąda człowieka do obsługi. To wszystko zmusza do szukania poetyczności w szarych zdarzeniach, bez której nie można wśród nich żyć. A równocześnie nęci nowym, niezużytym jeszcze terenem tematów, pełnym możliwości, gdyż podlegającym ciągłej ewolucji. Tak przedstawia się tło

współczesności, którą należy zestawić z potrzebami artystycznemi dziecka.

Potrzeba konstrukcji życiowej i programu występuje u dziecka całkiem wcześnie: równocześnie z mową i początkami myślenia. Za taką próbę „znalezienia prawdy życia“ czyli pewnego programu i planu życiowego należy uważać animizację rzeczy martwej, obdarzanie jej największą poezją i dziwnością, jaka istnieje wtedy dla dziecka: samem nagiem życiem. Kiedy około roku czwartego kończy się ta pierwsza fala poetyckości występuje jeszcze wyraźniejsza próba konstrukcji życiowej: bajka. Każda bajka zawiera jakiś program i plan życiowy: tak właśnie powinno życie wyglądać jak w bajce.

Jest ona czasem przedłużeniem wymiarów życia; oparta o element konkretnych rzeczy i wydarzeń wysnuwa tylko ich ukryty sens poetycki lub utylitarny; czasem jest zupełnie fantastyczna, to znaczy, operuje najkonieczniejszem minimum znanych z życia elementów.

Ta właściwa bajka datuje się od epoki romantyzmu; przedtem była w obiegu bajka w znaczeniu przypowieści, paraboli i allegorji z uchwytnym i często sformułowanym sensem moralnym.

Ten romantyzm pokutuje w bajce do dzisiaj z akcesorjami i całym rynsztunkiem zaczarowanych królewien, uśpionych po niedostępnych zamkach i odczarowywanych przez smutnych i umiejących pięknie kochać — rycerzy; zaczarowanych lamp i obdzieranych skalpelów.

Jak łatwy i kolorowy był ten świat w porównaniu z trudną poezją codzienności. Stąd ta trudność zerwania z nim, stąd ten nałóg operowania jego rynsztunkiem poetyckim, łatwym, gdyż wypracowanym już oddawna.

Tem trudniej zerwać z symbolami romantyzmu w książce dla dziecka, o ile skłonności jego zdają się iść po linji fantastyczności. Ale nie można omijać nowych symbolów życia. Te nowe symbole żądają przeróbki fantazyjnej. Są niemi: szary pejsaż miasta, rytm maszyny, ujarzmienie groźnej przestrzeni maszyną, wkońcu proste i szare zdarzenia życia — to nowa tematyka fantazji.

Innego gatunku przygody czekają nas teraz w stalowym pejsażu miast, niż wtedy, kiedy podróżowaliśmy landarami przez długie tygodnie i mieli okazję spotkania po drodze odludnych, zaczarowanych domków, lub programowych próżniaków, składających wiersze u stóp wiotkich pań sentymentalnych.

Inne przygody czekają też małego człowieczka z książki Stefana i Franciszki T e m e r s o n ó w [1]): czeka go właśnie przygoda

[1]) „Maciuś w zaczarowanem mieście“ Warszawa.

z „zaczarowanem miastem". Miasto urasta tu do znaczenia dawnego, zaczarowanego lasu, pełnego nieoczekiwanych, częściej strasznych, czasem tylko dobrotliwych cudów. Rolę wszechmocnego czarnoksiężnika objął tu zwykły człowiek, przechodzień, umiejący... zapomocą dzwonka elektrycznego kazać się otworzyć drzwiom wielkich, zaklętych domów, w których mają się jeszcze dziać dalsze cuda; rolę smoków i apokaliptycznych potworów objęły tu maszyny, wypluwające stosy zadrukowanego papieru, lokomotywy i auta o potwornych ognistych oczach. Zachowany tu został nawet cały nastrój strachu przed temi przygnębiającemi swym rozmiarem cudami.

I to właśnie: za dużo zostało w tej książce z dawnych akcesorjów, z całej tej aparatury dawnej nastrojowości, ubranej tylko we współczesną dekorację. Nowy temat miasta nie potrafił tu jeszcze ukazać w całej pełni właściwego swego rytmu i nastroju i wlecze za sobą balast zbanalizowanej już rekwizytorni czarów. Stąd bierze się nawet wrażenie pewnej sztuczności, mimo — raczej intelektualne — zadowolenie, jakie daje pomysłowość i dowcip, pozwalający przetransponować zaczarowany las na współczesny teren miasta.

Nie jest to jeszcze jednak poezja miasta.

Tę współczesność dają natomiast we wielkiej mierze dwie inne książeczki Stefana Themersona, twórcy tekstu, od którego nie da się odłączyć i z którym tworzy całość organiczną element malarsko-rysunkowy, dzieło Franciszki Themerson.

Czytałam raz w szkolnym podręczniku żydowskim z Rosji sowieckiej wiersz o — herbacie. Wiersz miał zadanie dydaktyczne: przedstawić mianowicie kolejne etapy produkcji herbaty aż do bursztynowego płynu w szklankach, a był — nawet dla dorosłego — poematem o herbacie i jeszcze więcej: poematem o produkcji. To była poezja konkretów, ta o którą mi chodzi.

Miałam potem jeszcze w ręku szereg rosyjskich książeczek dla dzieci: tu było dużo propagandy. Niewybredna propaganda, której tematem był na każdym kroku „burżuj", zamieniony na dawną bestję apokaliptyczną i w jej kolorach z ingredjencją nienawiści podany fantazji dziecięcej — ta propaganda zabiła tu poezję.

Tę radosną poezję życia dają w całej pełni wspomniane książeczki Themersonów. Nazywają się: „Narodziny Liter" i „Poczta". (Rzecz wydana nakładem tygodnika „Płomyk", 1932) [2]).

Przyznam się, że sama nie mogłam się oderwać od lektury,

---

[2]) Warto podkreślić, że wydawnictwo ofiarowało każdemu abonentowi jeden egzemplarz tej luksusowej książeczki.

aż dotarłam do ostatniej stronicy i wyobrażam sobie emocję jej właściwego czytelnika.

Emocja ta nie ustępuje zapewne tej, jaką wywoływały lampy Aladynów, fruwające dywany, ludzie zaklęci w kamień lub drzewa i skalpele, łupane z drobiazgową dokładnością; leży zaś po linji poruszania się dzisiejszego człowieka, który z natury rzeczy chce nauczyć tej poezji dziecko.

Ten moment utylitarny — jakże dyskretnie przenika się tu z poezją i kolorowością!

Oto jeleń ze sieny palonej, demonstrujący „jak porozumiewały się jelenie"; oto droga z okru, pnąca się prostopadle po kartce papieru wśród rozstawionych sztafet obok tekstu o dawnym sposobie komunikacji; prawdziwy dreszcz cudowności! Po mistrzowsku zostało tu przedstawione i zilustrowane stopniowe wyrafinowanie w przezwyciężaniu przestrzeni.

Czasem z doskonałym humorem, jak obraz tej Klementyny, jadącej dyliżansem z Kobylina do Lublina z kokoszką na jajach i zdejmującą w Lublinie piejące, czerwone koguty z dachu dyliżansu!

Wyzyskany został element animizacji, tak bliski dziecku i tak zbliżający do niego martwe rzeczy: oto anteny radjotelegraficzne, druty telefoniczne, lampy radjowe i baterje zdają sobie sprawę z uczestnictwa swego w losach ludzkich.

Albo ta historja pisma, w której odkrywa się najdziwniejsza poezja konkretów!

Znikł coprawda z tych książeczek ten gatunek tajemniczości, który łączy się w naszem odczuwaniu z kolorytem ciemności i rytmem jakiejś dusznej zawisłości. Ustąpił on miejsca kolorytowi rzeczowości i jego jasnej barwie. Możliwe nawet, że element tajemnicy jest zawsze aktualny i do życia potrzebny i że nie należy posuwać się zbyt daleko w tem „odtajemniczaniu tajemnicy istnienia", by apoteoza utylitarności nie zdusiła pierwiastka fantastyki. Ale o to właśnie chodzi, by wydobyć tę poezję z konkretów, by w nich pokazać dalekie i zawiłe perspektywy, w nich pokazać życie tajemnicze i autentyczną poezję.

Przykładem innego typu aniżeli rzeczy Themersonów jest — także z punktu widzenia artyzmu odmienna — książka K. Mołodowskiej, zbiór wierszy poetki żydowskiej, dla starszych i dla dzieci w równej mierze.[3])

Jest to książka, którą mogą czytać także dzieci, ale nie jest specjalnie „dziecinnie" pisana i zakłada już pewne wyrafinowanie

---

[3]) K. Mołodowska: „Maasełech". Wyd. Zjednoczenie Szkół Żyd. w Polsce 1931.

artystyczne. Temniemniej cieszy się olbrzymią popularnością w świecie dzieci.

Podczas gdy u Themersonów doszła do głosu współczesność w symbolu techniki i użytkowości, dochodzi do głosu u Mołodowskiej odwieczna codzienność szarych, zawsze jednakowych kilku wydarzeń życia, ta codzienność autentyczna, znajdująca swoje symbole w takich akcesorjach, jak niecki zużyte jako balja; jak stare beczki bez obręczy, stające się wnet nieodzowne wszystkim lokatorom brudnej jednej kamienicy gdzieś na Gęsiej i stare ubrania, przerabiane w nieskończoność i t. p. Pokazuje się tu dusza rzeczy szpetnych, koślawych i połamanych (tych plam na murach odrapanych, z których malarze wydobywają najzawilsze arabeski); odsłania się nagle ta poezja dla tych, którzy związani są już na zawsze z tym klimatem brudnych podwórzy i pokojów, zawalonych ludźmi i gratami. One to odgrywają dla tych dzieci zakrzyczanych i szarych rolę dziwnych pałaców zaklętych, płaszczów-niewidków i przygód cudownych, przyczem nie skąpi im Mołodowska koloru złota i czerwieni, tych barw, tak odpowiadających kolorytowi bajki.

Wiersze te czynią zadość potrzebie fabularności, zaspokajającej to ciągłe „co dalej będzie" — opowiadanie na jakiś temat ciągnie się w ciągłych transformacjach tak długo, aż naprawdę wyczerpują się dalsze możliwości; czynią także zadość potrzebie przesady i wyolbrzymiania, jak w tej historji z „Golemem", który, uproszony o przyniesienie wody, nie przestaje już jej nanosić, aż — po koleji — cały pokój, podwórze, ulica i miasto spływają jedną wielką rzeką w pole, by zostały wypite kilku haustami przez hagadowego wołu — „jak w bajce tak prędko" — kończy poetka. Tak ciągnie się ta historja z beczką bez obręczy, służącą dzieciom całej kamienicy za kryjówkę przed rodzicami i będącą wobec tego utrapieniem tychże; ta beczka okazuje się jednak niezbędną (do łapania deszczu przeciekającego szparami ścian) właśnie w chwili, kiedy tragarz Orke otrzymał poufne i dobitne zlecenie sprzątnięcia tejże bczki z powierzchni świata, scilicet: podwórka; ta beczka wkońcu tryumfuje — jest wtedy ukryciem dla córek tragarza przed biciem — kiedy przemienia się w szarych oczach tragarzowych na zamek zaklęty z drzwiami, dzwonkiem elektrycznym, fotelami i złotym kogutem na dachu!

Oto znowu balja (niedoszłe niecki) — rozumna balja, pamiętająca swój rozkład pracy i wędrująca przez cały tydzień po koleji od izby do izby, by w piątek „sama się umyć". Ale nadewszystko owa cudowna przygoda, która przydarzyła się najbardziej ku temu nadającej się osobie, małej Olce, sześcioletniej właścicielce niebieskiej parasolki, parasolki, która — otworzona —

staje się, o cudzie, „domem i dachem“. Pod tym dachem chciałaby Olka iść: razem z gęśmi w samo słońce zachodzące; albo: stać ze sznurem ptaków w słońcu, bez końca — ale z domu wołają, że trzeba „kartofle obierać, dziecko kołysać, garnki myć lub guziki przyszywać“. I ta ostatnia czynność właśnie staje się klęską tego świata z pokoju i zwycięztwem świata Olki: oto przy pomocy rozsypanych guzików, które w swej istocie nie są niczem innem jak kołami (że też nikomu przedtem to na myśl nie przyszło!) — przy pomocy tych guzików-kół odjeżdża Olka daleko, daleko od chropawych krzyków tego pokoju krzywego z garnkami i kartoflami, umieszczonego na błotnistem podwórku — jedzie całkiem białą, bardzo białą, jasną drogą!

Tych kilka przykładów niech zilustruje, jaką codzienność wprowadza Mołodowska do — bajki i z jakiego sprośnego i koszlawego tworzywa można wydobyć poezję.

Te dwa typy przykładów niech też starczą chwilowo za ilustrację tego, co nazywam elementem codzienności w literaturze dziecięcej. Pozostaje jeszcze do omówienia pod tym kątem widzenia szereg książek dla dzieci i młodzieży.

Chodzi o nic mniejszego i trudniejszego jak nowy typ i nowy klimat bajki.

HELENA BOGUSZEWSKA.

Dwukrotne odwiedziny w „Centosie“.[1])

I.

„Centos“, to jest zakład w Otwocku dla żydowskich sierot, dzieci psychopatycznych i spóźnionych w rozwoju. Zwiedzałam go dwa razy. Raz przed czterema przeszło laty. Drugi raz teraz w kwietniu, przed samemi żydowskiemi świętami.

Za pierwszym razem przyjechałam w południe, w zimowy dzień. Drewniana brama z napisem „Centos“ prowadzi na teren działki dużej, ogrodzonej, z sosnami i budynkami, które wyglądają

[1]) Za zezwoleniem szan. autorki oraz redakcji „Wiadomości literackich“ przedrukowujemy z Nr. 36 (507) „Wiadomości literackich“ niniejszy reportaż, który dotyczy zakładu wychowawczo-leczniczego dla dzieci żyd. w Otwocku, utrzymywanego przez Związek Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami R. P. w Warszawie (Centos). — Red.

jak zwykłe otwockie wille. Weszłam do najbliższego, ze schodkami i werandą: w hallu, na korytarzach pełno dzieci. Nie przyjrzałam się im dobrze, a na pierwszy rzut oka wydały mi się zwyczajne. Zaraz był dzwonek, wszystko zasiadło do obiadu przy długich stolach, na wielkiej oszklonej werandzie. Za oknami był mróz, śnieg i sosny, a tu gwar, ścisk, jedzenia dużo i dobre, wychowawcy rozmawiali i śmieli się z dziećmi, wszyscy gadali o jakichś zakładowych sprawach, ważnych, pilnych, wszyscy się znali i wiedzieli o sobie, a chleb zadziwiająco szybko znikał z koszyków.

Więc mówiło się o tem, że dzieci niebardzo jedzą zupę i mięso, a tylko ciągle „dopychają chlebem“, że ciągle gubią chustki do nosa i jakby tu temu zaradzić? Wszyscy gadali, żartowali, — było wesoło. Dyżurny, dwunastoletni Lejzor roznosił talerze z krupnikiem — było zwyczajnie.

Roznosił, roznosił, aż nagle bez żadnej przyczyny powiedział, że nie będzie dalej roznosił. Dlaczego? Przecież na niego jest kolej? Przcież sam się tyle czasu dopominał, żeby być dyżurnym? Tak, tak, to wszystko prawda, Lejzor nie mówi że nie, tylko mówi że nie będzie roznosił. Zagadkowy grymas słodkogorzkich ust, uciekające spojrzenie zaczerwienionych oczu w długich rzęsach — nie, nie będzie roznosił i koniec. Zmącony rytm obiadu, w powietrzu wisi awantura, jak to on, Lejzor potrafi, — już nie jest zwyczajnie.

Nie, tym razem Lejzor nie zrobi awantury: lekarz-wychowawca objął go ramieniem, coś z nim poszeptał, i rozpogodzony Lejzor znowu roznosi kluski. Obiad wkoleił się w zwykły rytm, idzie swoim trybem, dzieci „dopychają chlebem“, wychowawcy wesoło rozmawiają z dziećmi — znowu jest zwyczajnie.

— Nasz Lejzor jest miły, dobry chłopiec — mówią mi pogodnie, — tylko on ma takie swoje...

Oby miał tylko takie „swoje“, obyż nie miał gorszych „swoich“... bo, jak się dowiaduję potem, z Lejzorem niełatwo sobie poradzić. Ale to wszystko jeszcze nic jak na to, coby mogło być: czy ja wiem, skąd się taki Lejzor wziął na świecie? Że kiedy w miasteczku jest tyfus albo cholera, Żydzi wybierają dwoje najnędzniejszych, takich z samego już dna, naprzykład dziewkę i najmarniejszego przygłupa-złodziejaszka, kojarzą to stadło na żydowskim cmentarzu na koszt gminy, żeby przebłagać zły los? A potem z tych makabrycznych zabiegów powstają takie Lejzory...

Rozglądam się po wszystkich. I różne dziwne rzeczy uderzają mnie teraz w tej pozornej zwyczajności. Wychodzą naprzeciw mnie. Naprzykład moja sąsiadka przy stole, Sura. Liczy sobie chyba ze szesnaście lat, jest czerwona i gruba, ma murzyńskie usta i karakułowe włosy. Gdzież ja już ją widziałam?

Ach, widziałam ją, widziałam zdziesięciokrotnioną, nieraz i nie w jednem miejscu: i w Zdołbunowie, i w Prużanie, i w Rożyszczach, i w Kowlu, i w Parysewie, i jeszcze gdzieś... obwieszana kolorowemi papierkami, strzępami, świecidełkami, latała po potwornych uliczkach miasteczek, siedziała „w kucki“ na rynku pod murem, przebierając szmatki, wyśmiewana, potrącana, popychana, obrzucana kamieniami w charakterze klasycznej „głupiej Sury“, a tu siedzi koło mnie spokojna i wesoła, prowadzi ze mną rozmowę na poziomie dziesięcioletniego grzecznego dziecka — ta „nasza Sura“, gładzona przez wychowawczynię po karakułowych włosach — „z tej naszej Sury, to cała gospodyni“... Bo choć z czytaniem w szkole kiepsko idzie, ale lubi gotować i prać, i teraz, kiedy wychowawczyni ją chwali, uśmiecha się uśmiechem normalnym, szczęśliwym i zażenowanym...

Teraz znowu wpada mi w oko chłopczyk mały, rumiany i gruby, z dziwnego kształtu czaszką i miną półidjoty. Najcichszym szeptem zapytuję o niego. — Ach, to? — uśmiecha się lekarz-wychowawca, — to nasz Abramek, nasze „kalendarzowe dziecko“. Abramek... Chce pani, niech pani sobie zamyśli jakąś datę ze swego życia, a on pani powie jaki to był dzień tygodnia. On bardzo lubi, jak go tak pytają...

I ośmioletni Abramek, wyglądający na pięć lat, a rozumu mający na dwa i pół, odpowiada po chwili namysłu: — Środa.

— A dwudziesty piąty lipca siedemnastego roku?

— Czwartek.

I ja wiem, że to był czwartek. Przecież pamiętam.

Pozatem nie umie włożyć czapki, nie umie się ubrać, ani nic. O czytaniu niema mowy. Nie umie porządnie mówić. Wymawia: „ćwajtek“. A kiedy spyta, dziecinnie rozmiękczając słowa, czy to był przestępny rok, — ogarnia przerażenie, jakby przemówił kot albo wypchana sowa w hallu. Takie to jest kalendarzowe dziecko! A trzeba się z nim niańczyć, jakby miał rok.

A Mosiek? Takiego Mośka nie życzę nawet wrogowi. Kiedy wyjedzie na urlop lekarz-wychowawca, który samem spojrzeniem potrafi wyrywać wychowanków ciemnym mocom szaleństwa, z Mośkiem nikt nie może sobie dać rady. Na apel do honoru, na odwoływania się do wszystkich Mośkowych ukrytych cnót, na wszelkie błagalnie sugestywne podsuwania: „Mosiek, ty przecież jesteś rozumny chłopiec, tobie można zaufać?“, Mosiek beztrosko tłucze szyby kamieniami, wyrywa z korzeniami rośliny z cudzych ogrodów, obrzuca wychowawczynie najwymyślniejszemi obelgami ulicy i robi wiele innych rzeczy, których tu nie wymienię...

— Jak państwo możecie to wszystko wytrzymać?

— Ach to jeszcze nic, — odpowiadają pogodnie, — to je-

szcze nic... gdyby pani wiedziała, co tu się działo osiem miesięcy temu, jak to wszystko zjechało...

Wyobrażam sobie: pozbierany z ulic miasteczek materjał na głupie Sury i Lejzory, na przygłupów z wiejskich dróg, na żałosnych bohaterów wielkomiejskich gorszących, złych widowisk. Powyrzucani z przytułków i burs ci, z którymi nikt nie mógł wytrzymać, — latają tu teraz po śniegu między sosnami, zwyczajne dzieci, szczęśliwe, że mają „wolne" poobiedzie, dopóki nie zaczną się roboty w warsztatach, a my patrzymy na nich przez okno zgóry, z gabinetu doktora. Naprzykład taki Boruch: przyprowadził go wuj, stary Żyd, szewc-nędzarz z białą brodą i zaczerwienionemi oczami, i powiedział głosem pochlipującym:

— Jak pani doktór go nie przyjmie, to ja już chyba jego utopię jak szczeniaka, bo ja już dłużej nie mogę...

Patrzymy z góry, jak Boruch ugania z piłką. — Ten Boruch, to ma zdolności organizacyjne, — rozjaśnia się nagle lekarz-wychowawca. — Tylko że koniecznie musi rządzić, przewodzić... organizował całe bandy łobuzów, prowadził na stragany, na cudze sady — ale tu się go inaczej pokieruje. Jest dobry dla zwierząt... zobaczymy jeszcze, co z niego będzie... A Ryfka?

Pokazują mi dziennik zakładowy:

...dziś Ryfka od rana bardzo podniecona. Nie chciała nic robić w klasie, wyszła z lekcji, ciskała kamieniami"...

...Ryfka znowu miała napad szału, krzyczała, zdemolowała ogródek"...

Dwie kartki dalej znowu Ryfka. Ciągle Ryfka. Zawsze Ryfka. Zmora, postrach zakładu.

— Cóż to za straszna Ryfka? Pokażcież mi tę Ryfkę...

...„Ryfka znowu bardzo podniecona"...

— Czy ona będzie w warsztacie?

— Będzie. Już się rozpoczęło. Możemy iść.

Więc idziemy przez ściemniałe podwórze w stronę rzędu oświetlonych okien. Cały budynek rozbrzmiewa dziećmi, pracą. Warsztaty. Po obu stronach korytarza pracownie. Szewcka, stolarska, koszykarska, krawiecka. Rozpoznaję wśród pracujących tych, o których już coś jest mi wiadome: Lejzor stuka młotkiem w nabitą drewnianemi szpilkami miękką podeszew, Boruch hebluje deszczułkę. Sura siedzi schylona nad jakiemiś igielnemi kulfonami. Wszyscy ważni, przejęci, pożyteczni. Czy łatwo było nakłonić do roboty? Niełatwo. Trzeba było dużo cierpliwości ze strony majstrów, wychowawców. Ale cierpliwość nie jest czemś czego może zabraknąć w „Centosie": oddycha się nią jak powietrzem. Nie chciał który? Czekało się pogodnie i cierpliwie, aż zechce. No, i wszyscy mniejwięcej już coś robią. Bo jak się które raz już

chwyci pracy, to już dobrze. To jakby już się trzymało krawędzi świata normalnych, zwyczajnych ludzi. Naprzykład spojrzeć tylko na Borucha: jak on kocha tę swoją stolarkę...

W przedszkolu przy małym stoliczku Abramek mozoli się nad kawałkiem plasteliny,ośliniony i głupawy, pogrążony w mrokach nierozświetlonych żadną kalendarzową wieścią. Przykucam przy nim.

— Nie poznajesz mnie, Abramku? Przecież rozmawialiśmy zaraz po obiedzie. Pytałam ciebie, jaki to dzień był dwudziestego lipca dwudziestego piątego roku...

Po tej jedynej a niepojętej drodze na Abramka zstępuje „zrozumienie", „środa" — sepleni w zachwyceniu — „śloda"... i zaraz pogrąża się w tępocie nad grudą plasteliny, z której nie potrafi nic ulepić...

A Ryfka?

Ośmioletnia dziewczyneczka z okrągłą niewinną twarzą, sapiąc z przejęcia, majstruje sobie wózek z pudełka od cygar, na kołach ze szpulek. Pokazuje mi, mówi, jak chce to zrobić. Bawimy się przez całą godzinę, rozmawiamy. Jest wesoła, prawie normalnie rozwinięta, spokojna, szalenie przywiązana do wychowawców. Gdy wpadnie we wściekłość, to ich zadręcza. A potem mówi: „Gdybym wiedziała, gdzie są pochowani moi rodzice, co mnie podrzucili, tobym tę ziemię deptała nogami, deptała, deptała"...

Albo łamie ręce: „I cóż ja na to poradzę, że jestem warjatką?"

Ale Ryfka nie jest warjatką. Ona tylko miała takie życie... Lekarz-wychowawca mówi, że z Ryfki jeszcze będą ludzie. A już on wie co mówi...

II.

Kiedy po czterech przeszło latach po raz drugi przyjechałam do „Centosu", dzień był kwietniowy i niebieski, z lodowatą podszewką a grzejący trochę powierzchu słońcem. Wtem słońcu, na placyku przed głównym budynkiem, inni już, nieznajomi chłopcy grali w piłkę i w ping-ponga na drewnianym stole własnej roboty. Chwalili się, że mają teraz nowe warsztaty stolarskie, dawniej było tylko pięć, a teraz jest dziewięć. Że zrobili sami kilkadziesiąt stolików do sypialni, dla całego zakładu, tylko że te stoliki nie są jeszcze zagruntowane — czy ja chcę zobaczyć te stoliki? Owszem, chcę, pójdziemy tam po obiedzie, ale gdzie są dziewczynki? Dlaczego ja tu widzę samych chłopców?

Dziewczynki są na górze, robią porządki w sypialniach na jutrzejsze święta i prosiły, żeby tam nikt nie wchodził dopóki nie skończą. Tylko jedna dziewczynka snuje się koło domu, łazi

za każdym, cicho przystaje o parę kroków od rozmawiających — i patrzy... Ta dziewczynka jest „pośpiączkowa", powłóczy jedną nogą i stale trzyma rękę tak zawieszoną w powietrzu, jakby już już zamierzała coś zrobić. Ale nie robi nic, tylko cicho stoi i patrzy ze swoim łagodnym, rozlazłym uśmiechem, przyklejonym do ładnej twarzy.

Jest dzwonek, i wszystko pędzi do domu, który przygotowuje się na święta, pełnego rozpętanych porządków, tupotu na schodach, kubłów i ścierek, sterczących nogami do góry mebli, chwilowo wygnanych ze swych kątów. Na święta „nie śmie być" ani jednej okruszyny chleba, w spiżarni piętrzą się stosy macy...

I znowu, jak wtedy, zasiadamy na oszklonej werandzie przy długich stołach, znowu ten ścisk i gwar, taki jak zawsze i jeszcze specjalny, przedświąteczny. Tylko że wtedy za oknami był mróz i śnieg, a teraz kwiecień niedobry i zimny, i mówi się o ogródkach, o zagonkach, i co kto posieje... I dyżurny roznosi kartoflankę, — a wtedy był krupnik, — dyżurny jest inny, a wychowawcy znowu mówią, że dzieci nie chcą jeść kaszy, tylko kładą kotlety na chleb i tak jedzą, i wogóle „dopychają chlebem", i że gdyby ktoś rozwiązał problemat tego „dopychania", i jeszcze problemat gubienia chustek do nosa... — To znaczy, że przez te cztery lata nikt tego problematu nie rozwiązał? — śmiejemy się, i wychowawcy znowu wracają do swoich spraw, swoich, to znaczy zakładowych, że Lejzor przyjedzie jutro na święta... Lejzor? To ten, który wtedy przed czterema laty był dyżurny, roznosił krupnik i nie chciał, i o mało nie zrobił awantury? Nie, tego nikt nie pamięta: tylu dyżurnych roznosiło krupnik i nie chciało, tylu robiło awantury, i tylu o mało ich nie zrobiło, choć naogół bardzo lubią dyżury, i są tacy, którzy robią awantury o to, że im się dyżur kończy. — Ale Lejzor, to ten z żydowskiego cmentarza? — Ach, tak, to ten, to nasz Lejzor... — I cóż z nim teraz, gdzie on jest? — Lejzor jest już na własnym chlebie, samodzielny, normalny człowiek, jest szewcem w miasteczku, przyjedzie jutro...

— A Sura? — przypominam sobie nagle moją dawną sąsiadkę przy stole — gdzie jest Sura? — Sura też pracuje: ukończyła cztery klasy,rozwinęła się, i jest gospodynią. Chana — bieliźniarką, Leja — hafciarką, i wszystkie pisują i wszystkie przyjeżdżają...

Mosiek też przyjedzie na święta — a trzeba wiedzieć, że Mosiek zupełnie się zmienił, poprostu zrobił się całkiem inny od czasu jak mu doktór odszukał matkę. — Jakto: odszukał matkę? — Tak. Bo okazało się, że jest to poprostu uraz, że Mosiek zadręcza się tem, iż jest podrzutkiem i nic nie wie o swojej matce. Ach, niełatwo było wynaleźć ten adres, na mocy jakiegoś jednego jedynego listu z Ameryki, niełatwo było odbyć śladem Mośka wę-

drówkę po tych wszystkich przytułkach, z których wyrzucano go jako „niemożliwego". No, ale koniec końców lekarz-wychowawca odszukał Mośkową matkę. I znowu niełatwo było ją przekonać, tę matkę nieślubnego Mośka, żeby się do niego przyznała i że od tego zależy, czy Mosiek będzie normalnym, zdrowym człowiekiem, czy awanturnikiem niespełna rozumu... No, ale się udało. Przyszła, namówiona, tu w gabinecie czekała na syna, przyniosła mu nawet jakąś paczuszkę z cukierkami czy z czemś...

— No, i Mosiek bardzo się ucieszył?

— No tak, pewnie że się ucieszył, ale to tak nie wyglądało. Właściwie, to nawet nie chciał na nią patrzeć. Milczał nadęty, jakby obrażony. Ale pobiegł do sypialni, do swej wychowawczyni, którą zawsze bardzo kochał, i rzucił się jej na szyję: „Czy pani wie, że ja już mam swoją własną matkę?". A potem znowu wrócił do gabinetu i nic nie mówił do matki i znowu wcale jakby nie chciał na nią patrzeć... Taki on jest, ten nasz Mosiek. Ale uspokoił się zupełnie, tak że teraz przeznaczono go do bursy dla normalnych chłopców, pracuje z wielkim zapałem, poprostu jest fanatykiem pracy, będzie doskonałym stolarzem i wszędzie da sobie radę. Tak samo jak Boruch...

Milczymy chwilę. Siedzimy na pustej werandzie sami, nad niedopitą herbatą, dzieci już dawno biegają przed domem, widać je przez wielkie okna, przecież jeszcze jest biały dzień... patrzę na nie, myślę: tak, tamci już wyszli na ludzi, przyjdą jutro, wystrojeni, będą poważnie rozmawiali przy święcie, zwyczajni, normalni ludzie. I chyba w tem się czerpie siły na walkę z tą nową falą schizofrenji, histerji, imbecilizmu, tej straszliwej niedoli, jaką ci nowi wnieśli ze sobą? Ale przecież nie wszystko można zwalczyć, nawet takiem morzem cierpliwości, i dobroci, i talentu, przecież jednak nie wszystko... naprzykład ten Abramek, to był zupełny idjota poza swojem kalendarzowem nawiedzeniem, no nie?

Akurat trafiłam w sedno: właśnie Abramek podciągnął się prawie do normy, jest w pierwszej klasie gimnazjalnej, kalendarzowe tajemnice zatrzymały się na tym samym poziomie, ale wszelkie inne zdolności rozwinęły się bardzo. Jest tu teraz nowy chłopczyk, taki mały jak on był wtedy, ale naprawdę zaledwie pięcioletni, i jakiż inny... czy chcę go zobaczyć?

— Oto ten...

— Ten w welwetowem ubraniu? No, temu to już chyba nic nie jest?

— Nie, istotnie... ten chyba raczej ma czegoś za wiele, bo wszystkie zamki potrafi otworzyć wytrychem i wszystko wykraść. Dlatego w żadnym zakładzie nie chcą go trzymać. Szmulku, chodź tu do nas, Szmulku!

Dzieciak rumiany i gruby, z chytremi zezowatemi oczami barwy swojej bronzowej kurtki, tuli się do wychowawczyni, uśmiechnięty i zadowolony z siebie. — Ja nie jestem „złodziejem" — wykrzykuje nagle niespodziewanie, zaczepnie i prawie groźnie w stronę patrzących nań zdaleka a ponuro kolegów, właśnie tych, którym niedawno ukradł coś z walizek, otworzonych wytrychem.

— Nie, Szmulku. Ty nie jesteś złodziejem. Ty jesteś... nie, ty będziesz... porządnym chłopcem.. — uspokaja go wychowawczyni.

No tak. Kiedy Szmulek zachorował i był w szpitalu, wymyślał pielęgniarkom takiemi strasznemi słowami, że po trzech dniach błagały, żeby go już zabrać. Ale przecież dawniej i Boruch był taki, i Mosiek...

— Nic to. Będą i z tego ludzie — śmieje się doktór. — A nie widziała pani teraz naszej Ryfki?

Ryfka? Przypomina mi się tamto zimowe popołudnie i wczesny zmierzch, i jakeśmy brnęli po śniegu w stronę tamtych oświetlonych okien, i wózek z pudełka od cygar, do którego niewiadomo było jak doczepić koła ze szpulek. Patrzę w okno: jest jeszcze jasny dzień, a warsztaty podobno nieczynne, bo sprzątają tam na święta. Starsi chłopcy gdzieś się rozbiegli. Wysoka dziewczynka w popielatym grubym swetrze musztruje całą gromadę najmłodszych, organizuje jakąś grę, ustawia w czwórki, to parami, to jeszcze jakoś inaczej... widać, jak komenderuje: raz, dwa i... trzy! i wszyscy gdzieś lecą i znowu gromadzą się do kupy, i robią koło, śpiewają, maszerują... jakto ona panuje nad niemi, jak trzyma tę gromadkę w rękach — a to chyba nie musi być łatwe, jeżeli te małe są właśnie takie jak Ryfka?

— Są takie, — przyznaje lekarz, — właśnie są takie jak Ryfka, jak dawniej była Ryfka. Jakto, czyż pani jej nie poznaje?

Nie, naprawdę? Ryfka, urodzona organizatorka, Ryfka opiekunka dzieci, Ryfka przewodnicząca gromadzie, zastępuje wychowawczynię, która wyjechała na urlop? Teraz znowu ustawiła to wszystko we dwójki, puszcza w ruch długim składnym śpiewającym wężem, w miejscu przestępuje rytmicznie z nogi na nogę, przyklaskując w takt każdej przechodzącej małej parze, sama jak rytm, dusza marszu i gromady...

Pod samem oknem przeszły śpiewając tadorot-katakamalusia-tańcowała - dokolusia - tańcowała - rannąrosą - i tupałanóżką bosą, nóżkąbosą...

— Prowadzi je do zagonków, widać mają coś tam jeszcze wyporządzić na święta...

Mały pochód rozsypał się daleko za ażurowym płotkiem, nad

popielatemi, gołemi jeszcze od zimy zagonkami. Odrywam się od okna: ogródek? Oglądam się na półkę... Czy to tu leżał ten dziennik zakładu, czy na górze w gabinecie u doktora?

...„Ryfka znowu bardzo podniecona. Zdemolowała ogródek"...

— Ten dziennik poszedł już do archiwum. Ileż to dzienników było już od tego czasu, ile dzieci demolowało ogródek... Ale to się zawsze jakoś naprawia, i właściwie jest co roku lepszy. Teraz naprzykład mamy posadzone drzewa owocowe. A co do Ryfki, to już mamy teraz inną „literaturę" o naszej Ryfce. Pokażę pani, jak Ryfka sama odpowiada na tak zwany kwestjonarjusz zainteresowań, opracowany przez zakład psychologji wychowawczej. Tylko musimy pójść do gabinetu na górę, bo tam mam te wszystkie odpowiedzi.

...„najlepiej lubię się bawić z małemi dziećmi, bo bardzo przyjemnie i słuchają się i wogóle lepiej i przyjemniej"...

...„uważam za najlepszą zaletę wtedy, kiedy się ma największe zamiłowanie do biednego i do takich, które nieme są i ślepe"...

...„chciałabym wiedzieć, w jaki sposób ślepy i niemowa mówi i wie, gdzie leży naprzykład książka, i jak on czyta"...

...„moje marzenie polega na tem żeby pracować na freblówce i być nauczycielką"...

...„gdybym miała dużo pieniędzy, bym oddała dla biednych, bym zbudowała duży dom i bym dała dla biednych dzieci"...

...„gdybym miała dużo wolnego czasu, bym weszła do magistratu, jabym poprosiła, żeby dla biednych dzieci zbudować ochronkę"...

...„gdy mam dużo czasu, to myślę o biednych ludzi, bo one nie mają co jeść i nie mają gdzie nocować i niemają te wygody co ja"...

Za oknami zapada zmierzch, zimny ale już powiosennemu przeźroczysty. Słychać śpiewanie — dzieci wracają. Przed drzwiami rytmiczny tupot zagęszcza się, i przełamuje za progiem w bezładny stuk małych butów o dopieroco wymytą podłogę i wsiąka w coś miękkiego, sterroryzowany władczem klaskaniem w ręce:

— Uwaga! Nie zadeptać podłogi! Uwaga!

Zatrzaśnięto jakieś drzwi. Doktór-wychowawca nasłuchuje uśmiechnięty.

— Zabrała je do sali. Warsztatów dziś niema, bo sprzątają, ale ona już je tam zajmie do kolacji. Już jak dzieci są z Ryfką, można być spokojnym. Chce pani jeszcze obejrzeć naszą szkołę? Ale Ryfka do tej szkoły już nie chodzi, bo to jest specjalna, a ona już się dawno podciągnęła do normalnej, miejskiej.

Już w resztkach dnia oglądam klasy, rysunki, kajety, roboty, wszystko jak w zwyczajnej szkole, tylko jakby młodsze dzieci

to zrobiły. W sieni starsze dziewczynki przesadzają ze skrzynek flance do doniczek — na jutro! Na podwórzu mali kończą czyszczenie łyżek w piasku — na jutro, na jutro! Czekam tu na „panią doktór", z którą razem mamy jechać do Warszawy, i już do pociągu niewiele jest czasu. Otaczają mnie gromadką. Rozmawiamy o tem, jak to będzie jutro, na święto, i co komu wyrośnie na zagonku, i czy lepiej siać na zagonku ogórki czy cebulę, i że w warszawskim ogrodzie zoologicznym jest „dużo lwy". Pośpiączkowa dziewczynka cicho stoi o parę kroków dalej, ze swoją wiecznie zawieszoną w powietrzu ręką, cierpliwa i nasłuchująca.

— Czy to prawda, że w Niemczech hitlerowcy biją Żydów?

Kto tak spytał? Czy to możliwe, żeby ona tak spytała? A ona powtarza niegłośno, łagodnie a natarczywie:

— Czy to prawda, proszę pani?

Więc mówię, że prawda. I wszyscy milczymy. Dopiero po chwili któryś z chłopców wyciąga małą brudną rękę i gładzi mnie po futrzanym kołnierzu.

— Czy to futro jest „od lew"?

Otwierają się drzwi, pani doktór wychodzi z walizką, ciągle jeszcze z kimś mówi, coś komuś poleca... Z sieni bucha światło, i dopiero teraz widzi się, że już jest tak późno i ciemno na dworze. Słychać jak Ryfka śpiewa z małemi „górala", ktoś nawołuje chłopców, żeby szli myć ręce, bo zaraz będzie dzwonek...

— Idziemy. Na ten pociąg siódma pięćdziesiąt, to już wielki czas...

Oceny.

Dr. LEON GUTMAN.

Z najnowszej literatury pedagogicznej.

I.

Współczesne prądy pedagogiczne, różniące się pomiędzy sobą w pewnych szczegółach, świadczących o ich żywotności, mają jednak jeden bezsporny wspólny mianownik. Jest nim podstawa współczesna, na niej wyrastają i z jej wysokości naświetlają potrzebę dalszych poczynań wychowawczych. Zarysowuje się więc przed nami jako ideał człowieka — jednostka w wysokiej mierze społecznie uświadomiona, wtłaczająca się samorzutnie w krąg interesów ogółu od najwcześniejszej młodości (szkoła) aż po wiek

dojrzały, gdy siłą rzeczy staje się jedną ze sprężyn w wielkim mechaniźmie społeczno-państwowym. Jest rzeczą dziś powszechnie zrozumiałą, że kto za młodu nie wychował się wśród nawyków społecznych, polegających na wzajemnej współpracy, na podporządkowaniu się wyższym celom ogółu, zbiorowości i zwalczaniu samolubstwa, ten i w przyszłości zapozna swe obowiązki wobec drugiego, odpowiedzialność na niej ciążącą wobec ogółu i przyszłości. Tragiczne dzieje ludzkości, ich wieczne wojny, intrygi polityczne jako wynik wzajemnej nieufności itd. — są oznaką aspołecznego wychowania wiekowego, które na czole całej ludzkości wybiło swe fatalne znamię. I jak we wszystkich kulturalnych i etycznych posunięciach tak i tu stwierdzenie djagnozy wskazuje nam naszą powinność realizacji programu społeczno-państwowego w myśl naszych rozumowych i uczuciowych przesłanek W ten sposób tylko wychowa się z czasem zastępy znających swe obowiązki wobec państwa obywateli. Tym zagadnieniom poświecone są dwa dzieła, wydane ostatnio nakładem tak zasłużonego wydawnictwa „Książnica-Atlas" (Lwów-Warszawa 1933) Dra Sośnickiego: Podstawy wychowania państwowego i Dra Ziemnowicza: Rodzina a wychowanie państwowe. Pierwsze jest na szeroką skalę zakrojoną teorją wychowania państwowego, która przyczyni się bezsprzecznie do pogłębienia problemu i jego interpretacji w codzienności życia nietylko szkolnego, drugie natomiast ogranicza się przeważnie do praktycznych wskazówek. Środki wychowania państwowego dadzą ująć się w trzech grupach: rzeczywiste i aktywne współdziałanie młodzieży w różnego rodzaju pracach o charakterze państwowym; środki oparte na ceremonjaliźmie, środki o charakterze intelektualistycznym. „Pierwsza grupa środków wychowania państwowego ma tę właściwość, że wymagany od młodzieży czynnej postawy połączonej z bezpośredniem działaniem. Jest to uszczególnienie zasady szkoły pracy, wyrażonej w haśle: uczymy się przez działanie i zastosowanie jej do specjalnych celów, których wymaga wychowanie państwowe. Mamy przytem na myśli pełne działanie ucznia, a więc proces przebiegający wszystkie stadja, które prowadzą do czynnego i ruchowego jej wystąpienia. „Praca w różnych organizacjach filantropijnych, oświatowych, gospodarczych, bezpieczeństwa ogólnego i innych, tworzonych przez dorosłych a przenoszonych następnie na grunt szkolny, zawiera w sobie wiele momentów wprowadzających w etos państwowy" (np. walka z alkoholizmem, analfabetyzmem, sprawa bezrobotnych, dalej popieranie przemysłu krajowego, podniesienie rolnictwa, handlu itd.). Samorząd szkolny przyczynia się też do krzewienia etosu państwowego: gmina szkolna posiada dużo analogij

z organizacją państwową. Druga grupa środków to praktyki ceremonjalne, które wykazują swoisty składnik: świadomość, że przeżywany etos jest wspólny dla wszystkich, że się jest zespolonym i przynależnym do pewnej ludzkiej całości. Trzecia grupa środków wychowawczych o charakterze intelektualnym polega na teoretycznem i rozumowem rozważaniu spraw państwa". Jest rzeczą jasną, że w codzienności życia wszystkie te drogi się krzyżują, żadna nie wyłącza drugiej a ich stopień oddziaływania na jednostkę zależy od jej charakteru itd.

W ramach krótkiej recenzji jest niemożliwem przedstawić bogatą treść obu dzieł wspomnianych, zaznajomienie się dokładne z niemi odda każdemu nauczycielowi-wychowawcy duże usługi.

II.

Idziemy naprzód. Mimo wszystkich trudności i powątpiewań ze strony sceptyków. I szerokie masy zaczynają rozumieć, że nie chodzi w tych nowych reformach o poczynania natury ilościowej, jeno wybitnie jakościowej. Tworzymy nowego człowieka, nową ludzkość! Niedowiarcy uśmiechną się ironicznie, ale — czyż tak nie działo się ongiś — np. za czasów Galileusza — a jednak e pur si muove. My — wychowawcy młodych pokoleń kładziemy obecnie główny nacisk na kształcenie charakteru przez rozwój wszystkich elementów psychicznych. Nie padamy czołobitnie li tylko przed intelektem, owem bożyszczem starej szkoły — uważamy, że wiedza jest nader potrzebna — ale nie ta teoretyczna, która przechodzi mimo jednostki, ale ta, która wywiera silny wpływ na całe jej życie, na jej postępowanie, na jej czyn! Te myśli stanowią wytyczne dzieła prof. Cunna pt. „Kształcenie charakteru" (Książnica-Atlas Lwów-Warszawa 1933). Nabycie wiadomości nie jest celem w szkole, tylko środkiem do celu, do kształcenia tężyzny umysłu, do rozwoju życia uczuciowego i popędowego — słowem do wyrobienia charakteru. Tego intelektualizm nie może zdziałać. Wiedza, która nie kształtuje czynów — nie spełnia swego zadania. Najważniejszą misją szkoły jest uczyć młodzież współżycia. Nie to decyduje o wartości jednostki, co ona umie, jeno czem ona jest. I dlatego też koniecznym jest nawrót do teraźniejszości, do bezpośredniego kontaktu z życiem. Należy przekonać młodzież, że jest zdolną do dobrego i tem samem można ją uczynić rzeczywiście dobrą. „A wiedza moralna nie jest tak samo dostępna, jak wiedza naukowa. — W tem tkwi słabość wszelkich napomnień, zwłaszcza, gdy mamy do czynienia z młodzieżą. Musimy dążyć do celu drogą dłuższą, trudniejszą, ale zato o wiele bardziej skuteczną. Używając wszystkich dostępnych środków, a więc przez

wychowanie instynktów i formowanie przyzwyczajeń, przez wywoływanie „naturalnych reakcyj", przez nieustanny dobroczynny wpływ rodziny, szkoły, kościoła (religji), a w dużym stopniu przez działanie przykładem musimy przedewszystkiem ugruntować cnoty" (str. 180). „Mądrość życiowa nie może mieć lepszego sojusznika od dobrego charakteru" (str. 207). „W dziedzinie moralności — cel nie uświęca środków" 209). „Kontakt z życiem musi istnieć". Wychowanie moralne musi być ostatecznym celem wszelkiego wychowania! Organizacja i plan nauczania w szkole muszą być ujęte pod tym kątem widzenia, aby młodzież miała możność — pracy i działania, które wyłącznie urabia charakter — nie zaś filozofowania. Stąd wartość i potrzeba np. samorządu, jako areny uczynniającej młodzież, uczącej ją stosunku „ja" i „ty". Kultura uczucia — oto nowe hasło! I w tym sensie zaczynamy rozumieć wartość szkoły pracy, nie formalnie zrozumianej, ale w znaczeniu „funkcjonalnem". Dużo nieporozumień wywołał ten termin „szkoła pracy", zacieśniono ją do takiego typu szkoły, która wprowadza pracę fizyczną. Ale istota jej jest znacznie głębsza Wyjaśnia ją świetnie Dr. Claparede w dziele pt. „Wychowanie funkcjonalne" (Książnica-Atlas Lwów-Warszawa 1933). „Kształcenie funkcjonalne jest takie, które oparte jest na potrzebie: potrzebie poznania, potrzebie poszukiwania, potrzebie pracowania. Potrzeba, zainteresowanie, wynikające z potrzeby, oto czynnik, który sprawia, że reakcja staje się prawdziwą czynnością. „I z innego zgoła punktu widzenia — dochodzi do tez poprzednio wymienionych przez Cunna w „Kształtowanie charakteru": „Szkoła czynna nie powinna też tracić z oczu tego, wiedza ma tylko wartość funkcjonalną i nie jest celem sama przez się. — Wiedza na usługach działania. „Intelekt zimny nie może być decydującym czynnikiem, uczucie i dobra wola muszą trzymać go w karbach. Bo nie tyle jest ważnem w życiu, wiedzieć, jak należy coś zrobić, ile zdać sobie sprawę z tego, co powinienem zrobić. Na to co — dają obaj wymienieni autorzy zgodną odpowiedź. Oba dzieła, udostępnione dzięki tak czynnemu wydawnictwu „Książnica-Atlas", zasługują w całej mierze na dokładne i rozważne przeczytanie, zwłaszcza, że zarówno w odniesieniu do centralnego problemu (wychowanie moralne), jako i szeregu innych pośrednio lub bezpośrednio z nim związanych, zakres rozważania jest nader obszerny i każdemu wychowawcy da godzinę myśli... Bo jeśli jest prawdą, że nie idziemy pod rozkazy dziecka — z takim niesłusznym zarzutem spotyka się nieraz nowa szkoła i jej orędownicy, to i prawdą jest, że musimy iść pod rozkazy — dzieciństwa! (P. Lacombo) Do bogatego świata pedagogicznego wnosimy obecnie nowy termin: higjena moralna. Ją szerzyć jest naszem prawem i obowiązkiem.

Wiadomości z central sierocych.

Ze Związku.

Sprawa przyłączenia się Centralnej Organizacji Opieki nad Dzieckiem Żydowskiem (Cikszo) do Związku Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami R. P. (Centos), która od kilku miesięcy była przedmiotem pertraktacji między obu centralnemi organizacjami, weszła w stadjum praktycznego wykonania. W związku z powyższem miesięcznik „Dos Kind" wydawany dotąd przez Centralną Organizację Opieki nad Dzieckiem Żydowskiem oraz organ Związku Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami „Unzer Kind" połączyły się w jedno wydawnictwo, które pod nazwą „Dos Kind" będzie nadal wychodziło nakładem Związku Tow. Opieki nad sierotami żyd. (Centosu). — Skład komitetu redakcyjnego, do którego należeli Pp. A. Goldin, A. Lewinson i L. Neustadt, został uzupełniony przez przystąpienie p. Dra M. Peckera, przewodniczącego Centralnej Organizacji Op. n. Dzieckiem żyd. i redaktora dawnego organu tejże organizacji „Dos Kind".

Zjednoczenie tych dwu wielkich organizacji, które dla konsolidacji żydowskiego życia społecznego ważne posiada znaczenie, proklamowane jest w numerze 8—9 „Dos Kind", w artykule wstępnym p. n. „Wspólnemi siłami", w którym czytamy:

W momencie, gdy Żydowstwo tutejsze pod obuchem ciężkiego kryzysu toczy rozpaczliwą walkę o swą egzystencję, gdy równocześnie zorganizowana społeczność żydowska czyni heroiczne wysiłki o utrzymanie bytu swych instytucyj społecznych, stworzonych tak olbrzymim nakładem trudu i ofiar, należy serdecznie pozdrowić każdą próbę w kierunku konsolidacji żydowskiej pracy społecznej i zjednoczenia wszystkich wysiłków pod jednolitym sztandarem żydowskiej opieki społecznej.

Taką próbę stanowi obecnie połączenie naszego Związku Towarzystw Opieki nad żyd. sierotami R. P. (Centosu) z Centralną Organizacją Opieki nad dzieckiem żyd. w Polsce (Cikszo).

Należy się spodziewać, że połączenie to dopomoże do ostatecznego zakończenia procesu konsolidacji naszej pracy w dziedzinie opieki nad dzieckiem przez połączenie się także wszystkich lokalnych organizacyj, pracujących dotąd oddzielnie w jedną, potężną, cały naród obejmującą organizację społecznej opieki nad dzieckiem.

W tak niezwykle ciężkich czasach, gdy wszystkie nasze organizacje, każda na swoim terenie z niesłychanym wysiłkiem walczy o zapewnienie bytu swym instytucjom, gdy sytuacja ekonomiczna tak destruktywnie działa na spoistość wewnętrzną naszych organizacyj, wzmocnienie szeregów pracowników społecznych i pozyskanie nowych sił dla pracy jest sprawą pierwszorzędnej wagi, a zjednoczenie wyżej wymienionych organizacyj ważnym etapem na drodze do konsolidacji naszej pracy.

Sprawie dalszej konsolidacji i organizacji żydowskiej pracy społecznej w dziedzinie opieki nad dzieckiem, postawienia tego problemu w samem centrum zainteresowań całej społeczności żydowskiej, służyć też będzie nasz wspólny organ, który odtąd będzie wychodził pod nazwą „Dos Kind“.

„Dos Kind“ będzie się zajmował wszelkiemi problemami opieki nad dzieckiem, poświęcając m. i. główną uwagę jednemu z najważniejszych problemów żydowskiego życia społecznego, socjalnemu przewarstwowieniu młodzieży, jako podstawie do produktywizacji szerokiej masy narodu.

„Dos Kind“ będzie kontynuował zdrowe tradycje obu dotychczasowych organów i ze zwiększoną energją oraz zdwojoną czujnością będzie rozbudowywał jedyną trybunę żydowskiej opieki nad dzieckiem i służył ideowo i informatywnie społeczeństwu żydowskiemu, które powierzyło nam troskę o dziecko żydowskie i opiekę nad niem.

Z Centrali Białystockiej.

Tegoroczna nasza akcja kolonij letnich udała się nadspodziewanie dobrze. Urządziliśmy następujące kolonje:

1) kolonję leczniczą w Druskiennikach	o 152 uczestnikach	w 2 turnusach
2) „ wypoczynk. w Marczuku	o 145 „	w 2 „
3) „ „ w Wyżykach	o 144 „	w 2 „
4) półkolonję w Grodnie	o 198 „	w 2 „
5) obóz letni dla starszej młodzieży w Marczuku	o 19 „	w 1 turnusie

Łącznie zatem uczestniczyło w naszych kolonjach 658 dzieci. Ogólny koszt kolonij wyniósł 24.189.88 Zł. natomiast przychody osiągnęły tylko sumę 22.072.06 Zł. tak, iż pozostał niepokryty deficyt w kwocie 2.117.82 Zł. Od Komitetów Pomocy dla bezrobotnych otrzymaliśmy w gotówce i produktach łącznie 3.663.25 Zł.

Wyniki kolonij były pod każdym względem bardzo dobre.

Kolonja nasza w Druskiennikach od początku odczuwa brak oszklonej werandy, którąby mogła służyć jako wspólna jadalnia oraz miejsce zebrań dla dzieci w czasie niepogody. Brak ten wytknął też Naczelnik Wydziału Opieki Społecznej tut. Urzędu Wojewódzkiego przy sposobności lustracji naszej kolonji. Dzięki pomocy Wojewódzkiego Komitetu Pomocy dla bezrobotnych oraz Związku przystąpiliśmy obecnie do budowy takiej werandy, przezco dotkliwy ten brak zostanie usunięty.

Półinternaty w Krynkach i Sokółce po jednomiesięcznej przerwie wznowiły swoją działalność. Ósmy Zjazd rejonowy naszej centrali, który miał odbyć się w październiku br. został z przyczyn technicznych odłożony na 19. listopada br. Na posiedzeniu w dniu 22. października br. egzekutywa nasza powzięła szereg uchwał, których celem jest zwiększenie udziału Komitetów lokalnych w zjeździe rejonowym.

Z powodu wejścia w życie przepisów nowej ustawy o zbiórkach publicznych Związek nie otrzymał w tym roku ogólnego zezwolenia na urządzenie „Tygodnia sierocego“ w całej Polsce. W porozumieniu ze Związkiem wnieśliśmy przeto do tut. Urzędu Wojewódzkiego prośbę o zezwolenie na urządzenie „Tygodnia“ na obszarze naszego Województwa w czasie między 19. a 25. listopada br. Spodziewamy się, iż zezwolenie takie zostanie nam udzielone, w którym to wypadku proklamacja „Tygodnia Sierocego“ nastąpiłaby na naszym zjeździe okręgowym.

Z Centrali Lwowskiej.

Dnia 5. listopada br. w rocznicę śmierci bł. p. Miny Münzowej odbyła się w zakładzie sierót w Przemyślu uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej dla uwiecznienia pamięci założycielki i długoletniej przewodniczącej zakładu. Uroczystość, w której uczestniczyła rodzina oraz liczne grono przyjaciół i współpracowników bł. p. Miny Münzowej zagaił przewodniczący zakładu p. Dr. D. Haas, oddając w serdecznem przemówieniu hołd pamięci ofiarnej działaczki na polu opieki społecznej, prawdziwej matki licznej rzeszy sierót, dla których trudziła się do ostatniej chwili Swego życia, które bl. p. Münzowa naprawdę złożyła na ołtarzu ofiarnej miłości bliźniego. Następnie przemówił delegat Centralnego Komitetu Opieki nad żyd. sierotami we Lwowie, p. Dr. Kohn, który wezwał obecnych, by nie szczędzili trudu i ofiar dla utrzymania dzieła, które bł. p. Mina Münzowa trudem Swego pracowitego żywota dźwignęła, gdyż tylko w ten sposób pamięć Jej może być uwieczniona. Zakończyło uroczystość serdeczne przemówienie do zebranych dzieci, wychowanków zakładu, w którem p. Prof. Gottesman wezwał je do pielęgnowania uczucia miłości bliźniego i do pracy dla dobra całego społeczeństwa.

Przegląd czasopism.

Życie dziecka. — Czasopismo poświęcone ochronie macierzyństwa, opiece nad dziećmi i młodzieżą i życiu dziecka. Nakł. P. K. O. D. rok II. Nr. 9. wrzesień 1933. Warszawa. — Helena Jawidzykówna: Dziecko w zakładzie zamkniętym. — Fr. Ksawery Cieszyński: Położna jako wiejska opiekunka zdrowia matki i dziecka. — M. Skokowska-Rudolfowa: O roli kolonij leczniczych w zwalczaniu gruźlicy. — Irena Zimmerspitzówna: Wina. — J. Bogdanowicz: Opieka lekarska w ogródku Jordanowskim. — M. Statter: Ćwiczenia cielesne jako wyrównanie skutków pracy domowej kobiet.

Szkoła specjalna. — Czasopismo, poświęcone sprawom wychowania anormalnych. Organ Sekcji Szkolnictwa Specjalnego Związku Nauczycielstwa Pol-

skiego. Tom X. Nr. 1. zeszyty I i II. Warszawa, wrzesień—październik 1933. — Natalja Hanowa: Konflikt dziecka z rodziną. — Dr. Marja Grzegorzewska: Nowe drogi w nauczaniu głuchoniemych (Dok.) — Filip (Michels) Meresz: Pedagogika lecznicza jąkania (tłóm. Henryk Ryll.).

Dos Kind. — Miesięcznik poświęcony problemom opieki nad dziećmi i sierotami żyd. Wyd. Związek Towarzystw Opicki nad żyd. sierotami R. P. (Centos). R. X. Nr. 8—9 (109—110). Warszawa, sierpień—wrzesień 1933. — Wspólnemi siłami. — Ratujcie. — A. Emiel: Ratujmy dziecko żydowskie w Niemczech. — B. Smolar: W niemieckiem piekle. — N. J. Zelter-Kwittner: Opieka wychowawcza. — P. Abram: Dziwna pedagogika. — Gerszon Pludermacher: Technikum w Wilnie — a społeczeństwo żydowskie. — Dr. Zofja Rosenblum: Pięciolecie zakładu w Otwocku. — Praktyczne wskazówki przy wyborze zawodu. — Wiadomości z centrali białystockiej.



PRENUMERATA 3 ZŁ. KWARTALNIE

ZGŁOSZENIA PRENUM. PRZYJMUJĄ:

LWÓW	Administracja „Przeglądu Społecznego" ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
—„—	Centr. Komitet Opieki nad sierotami żyd., ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
WARSZAWA	Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Leszno 52. Tel. 11-69-04.
—„—	Centralne Stowarzyszenie Opieki nad dziećmi i sierotami żyd., ul. Zamenhofa 5. Tel. 12-07-42.
BIAŁYSTOK	Tow. Białostockie Opieki nad sierotami żyd., ul. Kupiecka 6. Tel. 5-11.
WILNO	Komitet Pomocy dla Sierót, ul. Orzeszkowej 7. Tel. 6-88.
—„—	Kraj. Komitet Żyd. Pomocy Ofiarom wojny ul. W. Pohulanka 5. Tel. 6-26.
PIŃSK	Centralny Komitet Opieki nad sierotami ul. Karlińska 22. Tel. 86.
RÓWNE	Zarząd Gł. Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Litewska 23. Tel. 2-11.
KRAKÓW	Zach. Małopolski Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Zielona 3. Tel. 23-41.
STANISŁAWÓW	Okręgowa Żyd. Rada Sieroca, pl. Mickiewicza 6. Tel. 84.

Z DRUKARNI I LITOGRAFJI IGN. JAEGERA LWÓW, UL. SYKSTUSKA 33